

Felieton

Wojciech Garstka

Rafał A. Ziemkiewicz – to wzięty pisarz i publicysta, mający pewne niekwestionowane osiągnięcia. Podobnie jak inny autor z pokrewnym pisarskim rodowodem – Marcin Wolski – zdrzyfował od popowego science-fiction w stronę napastliwej krytyki politycznej, prowadzonej z prawej flanki. Wolski w dodatku jeszcze pisze zjadliwe satyryczne wierszowanki i scenariusze dla kolejnych politycznych szopek. Ziemkiewicz ma natomiast ambicje raczej teoretyczne. Najbardziej znana jego synteza „wypaczonej III Rzeczypospolitej” nosi tytuł „Michnikowszczyzna”. Autor ujawnia tam knowania wrednego i obcego nam „salonu”, który spętał umysły elit opiniotwórczych, wykreował pseudoautorytety oraz postawy służalcze wobec salonowych proroków, promował uwłaszczającą się nomenklaturę, rozgrzeszał komunistycznych zbrodniarzy – i generalnie był i pozostaje źródłem wszelkiego zła. Analiza „Michnikowszczyzny” jest trudna, bo wymaga umiejętnego skojarzenia kompetencji politologicznych, historycznych oraz psychiatrycznych. Ja zabrałem się więc za przykład prostszy i bliższy mi tematycznie.

Pochwała bezpieki

Jestem mianowicie autentycznie zbudowany po lekturze książki „W skrócie” Rafała A. Ziemkiewicza (fabryka słów, Lublin 2009), skonstruowanej na zasadzie alfabetycznie uporządkowanych uwag i refleksji. Nikt w dzisiejszych czasach pogardy dla PRL-u nie napisał tyłu ciepłych, pełnych zaufania i szacunku słów na temat „bezpieki”. Jest to tym cenniejsze, że pisze to niebagatelny autorytet z kręgu budowniczych IV RP, pogromca „salonu”, przenikliwy analityk – a co ważne, wybitny autor science-fiction, co oczywiście bardzo pomaga mu w poprzednio wymienionych dziedzinach twórczości. Przejrzymy listę komplementów, jakie Ziemkiewicz funduje bezpiece.

Już pod literą „A” czytamy, że:

Z tym wiąże się bajka kolejna: „Esbecy wymyślali fikcyjnych agentów i przypisywali im to, co wiedzieli z innych źródeł, żeby kasować premie i brać dla siebie pieniądze za rzekome wynagradzanie konfidentów” – akurat, spróbowałby który. Po pierwsze, безпеka stanowiła swego rodzaju zakon, połączony nie tylko poczuciem wyjątkowości, więzami rodzinnymi i uprzywilejowaniem materialnym, ale także silnym poczuciem wewnętrznej lojalności. Po drugie, miała jak każda służba specjalna, sprawny system wewnętrznej kontroli, wzajemnego sprawdzania się i ubezpieczania operacji i coś opisanego powyżej, jeśli nawet incydentalnie gdzieś by się zdarzyło, byłoby bardzo szybko wykryte i surowo ukarane. W peerelu w coraz większej liczbie dziedzin życia publicznego panował narastający bardak, ale akurat bezpieczeństwa cywilna i wojskowa były do ostatniej chwili najsprawniejszym narzędziem, jakim dysponowała władza...

Czuję się wręcz zażenowany tymi gorącymi pochwałami! Wprawdzie wiem, że są one instrumentalne – bo autor wypowiada je po to, aby zaraz potwierdzić możliwość i prawomocność niektórych lustracyjnych wyroków, a równocześnie obalić tłumaczenia Zyty Gilowskiej, Jadwigi Staniszkis, czy Małgorzaty Niezabitowskiej, że nie wiedziały one, iż ktoś je zarejestrował i uważał za agentki, ale co za radość i satysfakcja z takiej wysokiej oceny! Jaka

szkoda, że Ziemkiewicz tak do końca nie ma racji!

Fikcyjnych agentów kreowano prawie zawsze, a od pewnego momentu zupełnie legalnie i oficjalnie (oczywiście wewnątrz SB, a nie na pokaz) po to, aby zakamuflować podsłuch lub podgląd, które były drogie i trudne w skutecznej instalacji. Ten kamuflaż był dokonywany z czasem nawet wewnątrz SB, bo zasada ochrony źródeł operacyjnych nakazywała jak najściślejsze ograniczenie wiedzy o tych źródłach zarówno osobowych jak i technicznych nawet w prowadzącej sprawę jednostce. Nikt nie powinien bowiem wiedzieć więcej niż to niezbędne. Niestety, fikcyjnych agentów moi koledzy rejestrowali także i niezbyt legalnie, gdy na przełomie lat 70-tych i 80-tych ktoś wymyślił stachanowskie normy obsługi agentury – minimum 10 „stuków” na funkcjonariusza. Kto by ich tylu – cennych i efektywnych – skutecznie obsłużył?! Więc pozyskiwano ciocię Kazię, kochankę(a), kumpla od balangi, sąsiada itp. Co pewien czas pisano pod jego pseudonimem jakieś mniej czy bardziej banalne doniesienia (zwłaszcza dot. „nastrojów w danym środowisku społecznym”), kasowano wynagrodzenie podpisywane pseudonimem i wszystko grało. Przełożony też nie miał czasu odbywać spotkań kontrolnych z przepisową częstotliwością, więc akceptował stan rzeczy, wiedząc, że i on musi się wytłumaczyć z efektywności swoich podwładnych.

O co więc chodzi? Czyżby bezpieczeństwa rzeczywiście kreowała fałszywych agentów? Czy oszukiwała samą siebie? Czy zatem lustracja, jak chcą jej przeciwnicy ze strony dawnej opozycji i ze środowiska Gazety Wyborczej jest rzeczywiście nieskuteczna, bo kwity SB-eckie są niechlujne i fałszowane, a zatem każdy zarzut lustracyjny można obalić i wyśmiać? Przecież ja i krytycy lustracji z kręgu dawnych służb dochodzą do wniosku o głupocie, zbędności i nietrafności lustracji na podstawie całkowicie przeciwnych przesłanek, zgadzając się w gruncie rzeczy z Ziemkiewiczem, gdy twierdzi on, że w dokumentach bezpieki tkwi jednak prawda! Jak więc wygląda ta prawda, czy można ją ustalać z dostateczną pewnością i czy ona – już wywleczona z teczek i naga – jest w stanie „nas wyzwolić”?

Bezsens lustracji

Odpowiedź na te pytania można zawrzeć w kilku następujących uwagach:

Po pierwsze – jeśli nawet kreowało się w SB fałszywych agentów legalnie i nielegalnie, to jest jasne, że do grona takich pseudo-agentów nie dało się nigdy zaliczyć prominentnych przedstawicieli opozycji, bo pozyskanie takiego okazu kontrolowano i analizowano jak pod mikroskopem! To była przecież zdobycz wyjątkowa i cenna, zbyt cenna, aby się tu dało kłamać. Czyli – w gruncie rzeczy potwierdzam tezę Ziemkiewicza i wszystkich kurtykoidów? Poczekajmy z tym jednak trochę...

Po drugie – tych prominentnych, cennych, specjalnie często chronionych agentów pilnie odróżniano i specjalnie traktowano na tle agenturalnego pospólstwa. Tryb ich pozyskania, rejestrowania, pracy z nimi – zwłaszcza podczas prowadzenia zaawansowanych gier operacyjnych – był często niestandardowy, był przedmiotem bezwzględnej rywalizacji pomiędzy pazernymi na awanse chartami bezpieki, kontrwywiadu – nie mówiąc już o wywiadzie. Spora część takich osób nie zostanie wykryta i ujawniona nigdy. Dotyczy to zarówno różnych przedstawicieli dawnej opozycji, notabli kościoła oraz wewnętrznych „agentów wpływu” ze środowisk opiniotwórczych – zwłaszcza dziennikarskich, laikatu, osób z sojuszniczych stronnictw, stowarzyszeń i organizacji społecznych, związków zawodowych itd. Z tego względu nadęta falanga z IPN-u polując na wilki łapie masowo głównie pchły.

Po trzecie - tych „wilków” było naprawdę małe stadko w porównaniu z wielką armią

szeregowych agentów wykorzystywanych w prostych sprawach obiektowych, do spraw gospodarczych (np. prawie cała agentura pionu PG), dla przeciwdziałania złodziejstwu i machlojkom, dbania aby jakiś kacyk swoją głupotą nie przyczyniał się do stanów pracowniczego niezadowolenia, wreszcie do pozyskiwania informacji dotyczących spraw o charakterze kryminalnym. itp. To była szara codzienność „bezpieki” u schyłku PRL, a zwalczanie opozycji było elitarnym marginesem.

Po czwarte – nikt, kto nie tkwił w środku SB i nie był wprowadzony w rozmaite meandry i niuanse operacyjnych praktyk nie wie i nie będzie wiedział o pewnych wyjątkach, o pewnych sprawach realizowanych niestandardowo, o pewnych usterkach rejestracji i dokumentacji, które z czasem niwelowano, ale nie do końca konsekwentnie – i wreszcie o mentalno-obyczajowym tle funkcjonowania tej szczególnej społeczności, jaką była bezpieka i o wpływie, jaki to wywierało na stan jej dokumentacyjnego urobku. Paru gorliwych byłych SB-ków usiłowało wyjaśniać to najpierw świeżym ludziom, którzy przyszli do Biura Archiwum UOP, a potem zapewne też IPN-owcom, ale tam akurat chyba mało było wystarczająco pojętnych uczniów. Po piąte – i bodaj najważniejsze – praca z każdym z agentów, nie mówiąc już o tych najważniejszych, miała charakter indywidualny. Na jej charakter i formy składały się m.in. takie elementy, jak określona osobowość, poziom wiedzy i inteligencji, kultura, postawy i zachowania obu stron dialogu operacyjnego – agenta i oficera prowadzącego. Te aspekty czyniły kontakt operacyjny często niepowtarzalnym. Z tego względu próba oceny – i merytorycznej i zwłaszcza moralnej – działań i zachowań źródła osobowego w oparciu o sam fakt rejestracji jest kompletnym idiotyzmem i przypomina oceny typu – „rudy, a więc fałszywy”.

Powtarzam tu wypowiedzianą już w innym miejscu tezę, że czasami agent „prowadził” oficera, czasami dochodziło do szczególnego spoufalenia i realizacji prywatnych interesów obu stron, czasami agent kluczył, kuglował i wykręcał się od mówienia i robienia czegokolwiek konkretnego, czasami zaś agent wykorzystywał kontakt, aby jątrzyć i szkodzić swoim prywatnym wrogom. Miało to tyle wspólnego z „prześladowaniem opozycji”, co walenrodzizm niektórych PZPR-owskich towarzyszy z walką o demokratyczną Polskę. Takich szczególnych przejawów kontaktów operacyjnych można jeszcze przytoczyć dziesiątki. Czasami było i tak, że agent był inicjatywny, pomysłowy, skuteczny i bardzo przydatny dla SB.

Z tego wynika przymus oceny bardzo zindywidualizowanej każdego agenturalnego przypadku – co absolutnie nie jest celem, a ponadto wykracza daleko poza umiejętności i możliwości „kurtykoidów” z IPN-u – nawet w przypadku najbardziej prominentnych osób oskarżanych o agenturalność. Tak jak w przypadku Cenkiewicza, czy Zyzaka – a ostatnio Gontarczyka, który napisał naciągane wypracowanie na temat rzekomej agenturalności Kwaśniewskiego, nie staje umiejętności warsztatowych i analitycznych, a osąd zakłócają uprzedzenia, polityczne zacierzewienie i żądza łatwej popularności.

W konkluzji stwierdzam więc, wbrew Ziemkiewiczowi, że lustracja jest złem i głupotą. bo:

- „cała prawda” dotycząca agentury PRL-owskich tajnych służb nigdy i w żaden sposób ujawniona nie zostanie;
- to, co zostanie ujawnione, to wrywkowe, przypadkowe, najczęściej mało ważne marginesy i resztki;
- ujawnione fakty i osoby będą pokazane w krzywym zwierciadle resztkowych papierów IPN, które nie odzwierciedlają ich postaw, działań, zachowań i rzeczywistych skutków ich agenturalnej działalności;

- lustracja jest przede wszystkim elementem środowiskowej dintojry w kręgach byłych opozycjonistów – i można by czerpać z tego złośliwą satysfakcję, ale jej demoralizujący wpływ na całokształt życia publicznego jest dramatyczny;
- lustracja jest elementem jątrzenia i dzielenia społeczeństwa, podszczuwania do agresji, nieufności i podejrzliwości, budowania fałszywych uzasadnień służących „zarządzaniu przez konflikt i kryzys” w PO-PiS-owym stylu (nie ma tu bowiem w gruncie rzeczy większej różnicy pomiędzy tymi politycznymi przeciwnikami – vide ustawa o bezpieczniackich emeryturach);
- prawda IPN nikogo nie wyzwoli, chyba tylko stare demony polskiej kłótności, zawiści, fałszu, zaściankowej stęchłej moralności, zacierzwienia i zemsty – to bowiem prawda zatruta jadem najgorszych UB-eckich trucizn, spadek po klasycznej beriowszczyźnie.

Jednym słowem, jeśli nawet Ziemkiewicz korzysta z poprawnej przesłanki, że generalnie w starych papierach SB kryje się prawda, to wyciąga z tej przesłanki niepoprawny wniosek, że lustracja jest niezbędna, skuteczna i oczyszczająca, gdyż tę prawdę lustratorzy potrafią odkryć i w pełni pojąć.

Kłopot z ziemkiewiczyzną

W tym kontekście mam pewne refleksje dotyczące ziemkiewiczyzny w jej całokształcie. Można bowiem mówić o pewnym szczególnym formacie myślenia o polskiej rzeczywistości reprezentowanym przez autora. Czuję się teraz trochę tak, jakbym powrócił do czasów, gdy skrupulatnie i pracowicie analizowałem teksty „opozycji” służąc w jednostkach analitycznych SB – to znaczy mam doznania ambiwalentne. Z jednej strony wiele rzeczy w pisaninie Ziemkiewicza brzydzi mnie i odrzuca, bo uznaję je za niemądre, pochopne i nachalne, z drugiej jednak strony niektóre myśli są mi niebezpiecznie bliskie. Piszę „niebezpiecznie”, bo nie czuję specjalnego komfortu z powodu zgadzania się z panem Z. Dziś nie grozi to już wprowadzie takim dysonansem ideowym, jaki był skutkiem owego rozdzielenia opinii u dawnego funkcjonariusza, czytającego prohibity, podsłuchy i doniesienia i zgadzającego się z częścią ich treści, zamiast z partyjnymi oficjałkami – ale odczucie pozostaje niepokojące. Nazwijmy więc w końcu te niepokoje, czyli wymieńmy momenty, gdy z niechęcią zgadzam się z Ziemkiewiczem.

„Salon” – jest, czy go nie ma?

Oto definicja Ziemkiewicza;

„Cóż to takiego „salon”? Ja bym go zdefiniował jako sieć nieformalnych powiązań pomiędzy wpływowymi osobami - artystami, intelektualistami, lewicowymi akty-wistami i politykami - które jednoczy ideowe pobratymstwo: poczucie misji prowadzenia ludzkości ku Postępowi, oraz konformistyczna świadomość, że trzymanie miejsca w szyku bojowników o Postęp po prostu się opłaca”

A więc wyselekcjonowana elita i zarazem grupa geszefciarzy, korzystających z przynależności materialnie i prestiżowo? Nie tylko:

„Salon - takie zdefiniowanie wpływowego środowiska, które ukształtowało dominującą w III RP mentalność relatywizowania komunizmu i powszechnego przyzwolenia na świństwa, układy i draństwo, spotyka się oczywiście z atakiem: A co to niby za Salon? Nie ma żadnego Salonu, uroiliście go sobie, a poza tym wy też jesteście salonem, tylko prawicowym. W istocie „salon” to coś, co trudno zdefiniować, i nie jest przypadkiem, że tę właśnie formułę wybrali ludzie, którzy z zasady zdefiniowani być nie chcieli. Nie chcieli być partią, stroną w publicznym dyskursie -

chcieli obejmować jego całość, prezentując się po prostu jako ludzie mądrzy i szlachetni i przyznając sobie prawo organizowania ostracyzmu, określania, kto się w debacie publicznej nie mieści i komu ludzie mądrzy oraz szlachetni nie podają ręki”.

Muszę przyznać, że już od czasu obserwowania środowisk wokół KOR-owskich podczas służby w SB odnosiłem podobne do Ziemkiewicza wrażenie o sztucznym kreowaniu tam autorytetów, talentów, liderów i koryfeuszy różnych dziedzin. Kręgi te były koncentryczne, na zasadzie różnego poziomu bliskości, dość szczelnie zamknięte, nie tylko z przyczyn konspiracyjnych, których KOR przecież demonstracyjnie nie stosował. Środowisko Gazety Wyborczej przeniosło te praktyki do III RP, a ta kreacja elit i tu też nie zawsze była obiektywna – mniejsza o przykłady.

Natomiast rzeczywiście, niezwykle skutecznie działał nimb salonu i jego magnetyzm. Przyciąganie, selekcja i wykluczenie było praktyką dość dobrze widoczną. Pamięamy hasło, że „lewicy mniej wolno”? To tylko polityczny aspekt „selekcji na bramce”. To, że zjawisko nazywane tu Salonem epatuje i pociąga, a ten kto znajdzie się w jego orbicie nabiera blasku i znaczenia widać i po tym, że ulegali mu ludzie z prawa i z lewa. Szczególnie interesuje mnie obserwacja naszych lewicowych kolegów, poczytujących sobie za zaszczyt przysgarbienie. Dotyczyło to i Kwaśniewskiego i Millera – jako prominentów lewicy, ale nie ominęło np. Borowskiego, Cimoszewicza, czy Szmajdzińskiego - żeby zatrzymać się tylko na największych tuzach.

Nie ufając do końca Ziemkiewiczowi – ufam własnym obserwacjom i uważam, że zjawisku Salonu warto poświęcić wnikliwą politologiczno-kulturową analizę – niby w zgodzie z Ziemkiewiczem, ale w gruncie rzeczy przeciw i obok jego wnioskom. Zdradzają one bowiem głównie kompleks parweniusza, łaknącego akceptacji salonu, który zagląda do niego przez firankę, z poczuciem pokrzywdzenia i tęsknoty, jak Janko Muzykant.

„Polactwo” – obelga czy obiektywna klasyfikacja

Nie znalazłem w omawianej książce definicji, którą mógłbym literalnie zacytować, muszę więc to pojęcie zrekonstruować. Polactwo wedle Ziemkiewicza to postawa intelektualna, mentalna i obyczajowa będąca efektem wielkiej migracji po wojnie najciemniejszych i najbardziej zacofanych mas plebejuszy w sfery społeczne opuszczone przez inteligencję i warstwy wyższe wymordowane przez hitlerowców, stalinowskich siepaczy i ich polskich pomagierów z UB. Wojna i okupacja, akcje celowego wyniszczania inteligencji, Katyń, łagry, zsyłki i represje UB-ckie – oto skala swoistego polskiego holokaustu. Na opuszczone miejsce weszły zachęcane przez egalitarną politykę edukacyjną i kampanię ideologiczną PRL masy o mentalności pańszczyźnianego parobka – najciemniejsze, nieznające pojęcia honoru i godności, bierne i nierozgarnięte, żądające opieki ze strony państwa, które ich karmi, a zarazem nienawidzące tego państwa jako uosobienia pana i wyzyskiwacza, a więc gotowe go przy każdej okazji okłamywać i okradać.

Taka obserwacja budzi oczywiście znowu ambiwalentną ocenę. Z jednej strony jest to ordynarny paszkwil, obraz pełen pogardy i źródło uzasadnionej obrazy. Z drugiej strony jest to jednak potwierdzenie nieprawdopodobnego awansu społecznego całych klas społecznych z niedawnym plebejskim rodowodem. Ziemkiewicz nie ukrywa przy tym, że sam jest przykładem tego awansu. Niestety, gdy pominąć obraźliwy ton i negatywny emocjonalny aspekt, to obraz ten jawi się jako prawdziwe i dość ponure tło intelektualne, mentalne i obyczajowe naszej

społecznej rzeczywistości. W tej perspektywie staje się zrozumiałe np. polski, szczególnie zaprzyjaźniony katolicyzm, nędza klasy średniej, która jest przeciwieństwem protestanckiej solidności, pracowitości i rzetelności, lecz raczej siedliskiem kołtunerii, syndromu dorobkiewiczostwa, cwaniactwa, kiczowatego nowobogackiego szpanu, obfitującego w przejawy antysemityzmu i rasizmu, utajonej homofobii. Gdyby ktoś mi w tej chwili zarzucił, że oto zgadzając się z Ziemkiewiczem szkaluję swoje ojczyste gniazdo i zdrowe plebejskie korzenie większości naszego narodu – to odpowiem mu po ziemkiewiczowsku, że niech się rozejrzy, a prawda go wyzwoli...

Wystarczy spojrzeć na niektóre okazy naszej „klasy politycznej” i to bynajmniej nie tylko z „Samoobrony”.

Syndrom „kolonialnego sierżanta” – był? Jest nadal?

„Kolonialny sierżant - figura przydatna do zrozumienia stosunku naszej elity intelektualnej do Europy i własnego narodu. Murzyn, który dosłużył się u białych stopniem podoficerskiego, gardzi czarnuchami bardziej niż jakikolwiek biały rasista, a wszelka swojskość, tam-tamy, rytualne maski czy tańce budzą w nim jedynie irytację. Widzi w tym ciemnotę i żalosny balast oddalający od cywilizacji. Marzyć potrafi tylko o tym, żeby zbieleć, i tego samego wymaga od rodaków”.

I tym razem gotów jestem podzielić intuicję Ziemkiewicza, choć zinterpretuję je niekoniecznie po jego myśli. Wizja kolonialnego sierżanta pasuje mi najbardziej do dwu kolejnych serwilistycznych profili naszych powojennych elit władzy – pierwszego, odwróconego twarzą w stronę Moskwy i drugiego, śliniącego się na samą myśl o Waszyngtonie. Tron Wielkiego Brata ani przez chwilę nie opustoszał.

Teraz, na tym tronie przysiadają również chwilami brukselski „Wielki Kuzyn” ze Zjednoczonej Europy. Wielki Brat zza oceanu jest jakby większy i potężniejszy, ale ten europejski też potrafi czasem omotać i pozbawić zdrowego rozsądku. Ostatnio ponoć nakazuje by płacić VAT za szkolenia językowe – przynajmniej w interpretacji naszych kolonialnych sierżantów z Ministerstwa Finansów. Takich małych, głupich przykładów jest więcej, a na większe nie mam tu miejsca. Jedynym pocieszeniem jest to, że stronnicy obu Wielkich Krewniaków – tego amerykańskiego i tego brukselskiego - co pewien czas zajadają się krytyką i zwalczają nawzajem, co nie dodaje Polsce ani mocy, ani prestiżu, ale pozwala przez chwilę usłyszeć jakieś argumenty „przeciw”, co jest zawsze pożyteczne.

Epilog

Mimo kompleksów parweniusza, które są dominującym tłem Ziemkiewiczyzny lista tez akceptowalnych odnajdywanych u tego autora jest całkiem spora, na przykład: z bezwzględną jadowitą celnością charakteryzuje on braci Kaczyńskich – dość pokrętną sylwetkę polityczną Jarosława i kukłową sylwetkę Lecha – co cenne, bo w gruncie rzeczy tkwią wszyscy oni po tej samej stronie politycznej barykady; bezlitośnie wylicza idiotyzmy efektów „reformy emerytalnej” – w tym np. pozostawienie przywilejów grupowych dla rolników, godząc się, że sam je ma, jako formalnie rolnik; wyszydza prywatyzację za pośrednictwem NFI; kpi z zaciekrzewionych, agresywnych ekologów, potępia idiotyczną i przekrętną prywatyzację TP S.A., itp. Poza tymi

niebezpiecznie słusznie brzmiącymi tezami Ziemkiewicz pisze też jednak o kilku sprawach w taki sposób, którego mu darować nie można. Oto tylko jeden szczególnie odrażający przykład:

„ONZ - sposób zapewnienia światowego bezpieczeństwa, wymyślony, po tym jak wolny świat po II wojnie światowej stchórzył i mimo posiadania broni atomowej nie zdecydował się po zniszczeniu hitlerowskiego imperium zła zrobić tego samego z Sowietami [podkr.- WG]. Proszę sobie wyobrazić szefa policji w mieście bezprawia, który z różnych względów dochodzi do wniosku, iż zbrodnia jest częścią obiektywnej rzeczywistości i walka z nią przerasta siły czy nawet w ogóle nie ma sensu. Dla zaprowadzenia w mieście porządku zaprasza on więc przywódców mafii do wspólnej rady, bez zgody której nie może zapaść w mieście żadna ważna decyzja. Ażeby wszyscy się jej decyzjom podporządkowali, szef policji i burmistrz z jednej, a szefowie najpotężniejszych gangów z drugiej strony przyznane mają w niej prawo weta. Tak właśnie wygląda ONZ ze swą Radą Bezpieczeństwa i cały światowy system, siłą inercji trwający do dziś.”

Dzięki tym i kilku innym wynurzeniom autora na podobnym poziomie moralnym i intelektualnym zostałem uratowany i zbawiony od zgubnej estymy i sympatii dla ziemkiewiczyzny. Potępienie powojennego porozumienia państw w imię pokoju i międzynarodowego bezpieczeństwa, pomimo wielkich napięć związanych z zimną wojną i walką ideologiczną oraz żal za niebyłą zagładą atomową, której udało się jakoś uniknąć, a wszystko to w imię nienawiści do „komunizmu” – to jednak przejaw szczególnie zaciekrzewionej głupoty.

Wojciech Garstka, b. rzecznik prasowy MSW, publicysta